

GRUZJA 2007

Jest 2.09.2007 późny wieczór. Siedzimy w hoteliku w Jaśle który znalazł nam Paweł. Popijamy, siedząc razem z jego małżonką. Hmm... To tak zwyczajnie wygląda początek mojego wymarzonego wyjazdu?

Kiedy zrodził się pomysł na te wakacje? W Lewarowej głowie, pewnie ze dwa lata temu, kiedy naczytał się o wojnie domowej w Gruzji, o alei Rustawellego, o widokach Gruzińskiej Drogi Wojennej, Kazbegu... Ruszył rok temu, ale kiedy po raz drugi ładował Afrykę na lawetę myśląc ile kasy wezmą od niego tym razem, wrócił, wiedząc że pojedzie jeszcze raz, ale nie samotnie, nie w pojedynkę.

Ja naczytałem się o zachodniej Turcji, o starej stolicy Armenii - ANI, które to miasto dorównywało znaczeniem Konstantynopolowi i o Armenii ze swoimi zabytkami chrześcijańskimi z okresu kiedy było to pierwsze państwo które przyjęło tą religię za obowiązującą. Gruzja była tylko po drodze... Lewar zadzwonił po raz pierwszy jakoś jesienią. Ha... przecież za rok... kto wie co będzie... Jak mówi Magnus "jeśli chcesz rozśmieszyć Boga to opowiedz mu o swoich planach". No i co? Z jednodniowym opóźnieniem wywołanym przez ślub Szymka na którym musiał być Lewar i ślub Jerzego na którym musiałem być ja (bo bez świadka byłoby przecież nieważne...) pijemy w Jaśle, a Paweł gada coś o zazdrości. Pewnie z grzeczności bo niejedną ekipę już żegnał. Jakoś tak wszystkim to Jasło po drodze...Razem ze mną jedzie Emilia która po powrocie z Turcji w ubiegłym roku nie bardzo chciała mnie znać, ale zadzwoniła na dzień przed wyjazdem, że jak do Gruzji to jedzie.

Rano, w drogę, na Stambuł. Droga nudna, bo rok temu jechaliśmy tą samą trasą. Zmianę wprowadza Lewar, bo niedaleko Rezowa pod samą granicą Bułgarsko-Turecką opalał swoje mizerne i blade ciało rok temu, wchodząc w koleżeństwo z właścicielem campingu. Znaleźliśmy camping i gościa ☐ Polecam to miejsce wszystkim. Plaża fajna z ładnym piaseczkiem, zatoczka, skałki, ciepła woda, no i wszystko co potrzeba motocyklistom w drodze, czyli piwo, wóda, żarcie.



Przerwa była miła, ale krótka. Trzeba w drogę. Granica turecka, kaszka z mleczkiem, bez problemów. Sztambuł - gdyby nie GPS który zaprowadził nas do hoteliku w którym mieszkaliśmy w ubiegłym roku pewnie do dziś szwendalibyśmy się po ciasnych uliczkach Złotego Rogu.

W zeszłym roku był Błękitny Meczet, Haga Sophia, itp. Tym razem knajpki starego miasta, Wielki Bazar, Bazar Egipski. Tyle przypraw, słodkości, owoców. Tam trzeba zajrzeć i poprobować. A wieczorem oberwanie chmury..



Trzeba dalej. Turcja wzdłuż to kawał drogi. Bez pośpiechu jechaliśmy 3 dni.

W drodze atrakcja zaplanowana jeszcze w Polsce-Klasztor w Sumeli. Ładne widoki i najlepsze pstrągi jakie jedliśmy w życiu z hodowli zbudowanej na bazie górskiego potoku.



Drogi w Turcji budują z rozmachem i szybko. Podobno jeszcze rok temu było ciasno i walka z Tiramami, my lecieliśmy szerokimi 2-3 pasmowymi drogami. Tylko jakieś 200km niedaleko granicy z Gruzją jeszcze nie wszystko jest skończone. Turcja to drogi kraj jak na poruszanie się moto. Paliwo 6,20 -

6,40 zł, ale żarcie jak u nas, egzotyka wyczuwalna, a ludzie bardzo mili. Jeszcze tam wrócę... Granica turecko-gruzińska. Urzędnicy bardzo mili, kwity wypisane sprawnie, całość może 30 min. Zaczepia nas Gruzin. Tkwi cały dzień na granicy, bo ciągnie samochód z Niemiec. Nie wie o tym, ale zejść mu jeszcze dwa. Gość ogląda beduina na Afryce Lewara i pyta czy jechał w rajdzie Paryż-Dakar. Trzeba się przyznać że nie, ale okazuje się że facet jest organizatorem rajdów motocyklowych w Gruzji i chętnie nam pomoże gdyby coś złego nam się stało. Daje nr telefonu, odjeżdżamy uśmiechnięci machając. Ujechaliśmy 10m od granicy i już przyjaciel motocyklista.

Do Batumi 20 minut. Nie mam map GPS na Gruzję i w związku z tym nie mogę odnaleźć namiaru jaki dostałem od Wojtalskich, którzy są tu od trzech dni. Oni właśnie tu zamówili bilety na prom do Odessy. Okazuje się że to zrzączenie losu, bo biuro które znaleźli wystawiło ich do wiatru. My walimy dalej w kierunku Poti i Tibilisi, ale chęci na jazdę nas opuszczają. Obiecaliśmy Emilii jeden dzień na plaży pod palmami. Palm niewiele, ale plaża w Kobuleti wygląda nieźle. Tylko ten czarny piach... Załatwiamy nocleg u babki która akurat przechodziła bulwarem, cena 10 lari od głowy (coś ok.1,70zł za 1 lari). Jest po sezonie i jest masa miejsc. Zaczepiają nas, proponują 7 lari, ale nasza gospodyni wpadła w oko Lewarowi i stawiamy moto w jej ogródku. Niestety Lewar w jej ogródku nic nie zasiał bo bardzo szybko okazało się że ma męża który wygląda jak mafioso i czar prysł. A szkoda bo jak mówił Lewar w jej czarnych, wielkich oczach, czaiło się wynaturzone wyuzdanie. Od dziś posiłki to degustacje narodowych dań.

Chinkali, szaszłyki, kebaby. Padają nazwy, ale raczej nie mam do nich głowy. Wczasy, urlop... My cały dzień na plaży. Tego nie robi tutaj nikt. Plaża zagęszcza się nieco po 16.00 bo nie ma takich głupków co w południe szukają udaru.

Nuda! Trzeba w drogę, jedziemy do Poti. To portowe miasto, w którym Lewar zna adres biura w którym można zarezerwować bilety na prom powrotny. Kasują nas po 17 lari za rezerwacje i mówią zadzwonieć 22-go to dowiedzie się kiedy płynie prom. No to spokojna głowa! Powrót zarezerwowany, lecimy na spotkanie z Wojtalskimi, umówiliśmy się w Upsilciche - miescie skalnym.

Skalne miasto nie powala, widziałem już kilka ciekawszych ale dozorca to miły gość. Wpuszcza nas gratis, pozwala rozbić namioty a w końcu robimy w jego budce kolacje zrzutkową co kto ma i to kolejne miłe spotkanie. Ech! Niech żyje komuna! To ona dała tej części świata wspólny język rosyjski. Nikt go nie lubi, niektórzy nie chcą nim mówić ale bez niego...



Rano starzy czyli my, wstają wcześnie, zwijamy się, młodzież przyjechała późno, do tego mieli stłuczkę w drodze, więc sami ruszamy na Drogę Wojenną!

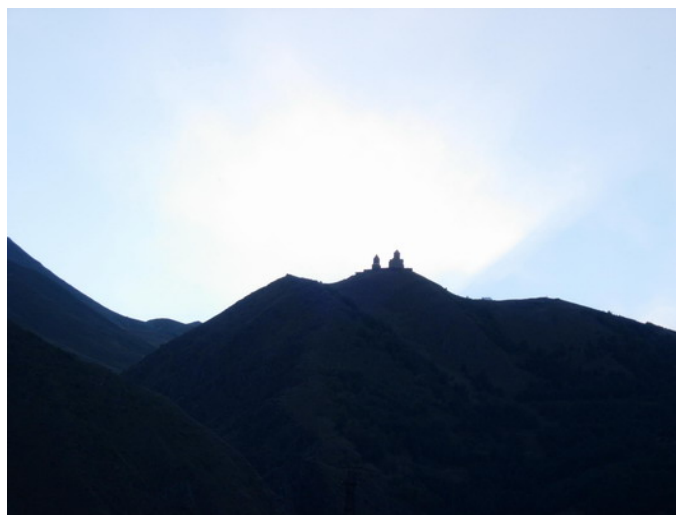
Umawiamy się że spotkamy się w drodze. Jest jedna i nie można się zgubić.

Zaczyna się jakieś 10km od Tbilisi i pnie w górę. Początkowo piękny asfalt, piękne widoki, świetne winkielki. Im wyżej tym gorsza droga, ale piękne widoki pozostają.



Niebezpiecznie jest tylko z powodu krów, świń i owiec. Lewar Gruzję określił mianem kraju Szczęśliwego Pogłowania. Gospodarze puszczają dobytek kopytny rano, żeby sobie znalazł coś do jedzenia, w związku z tym krowy chodzą po drogach, a czasem leżą sobie na nich i tylko TIR powoduje że ruszają swoje cielska. Do wsi Kazbegi, a może miasteczka, dojeżdżamy w czwórkę pod wieczór. Szybko zapada zmrok, więc mimo że grymasimy to w ciągu 20 min. mamy wybrany nocleg. Oczywiście z widokiem na górę Kazbeg (ponad 5000m) jak reklamuje się nasza urocza gospodyni. Nie znalazłem jednak żadnego domu który by nie miał za oknem tego widoku... Ciekawszy jest jednak widok na cerkiew położoną poniżej Kazbegu, na górze (coś koło 2200m).

Tsiminda Sameba - kościół Trójcy świętej - znak charakterystyczny Gruzji.

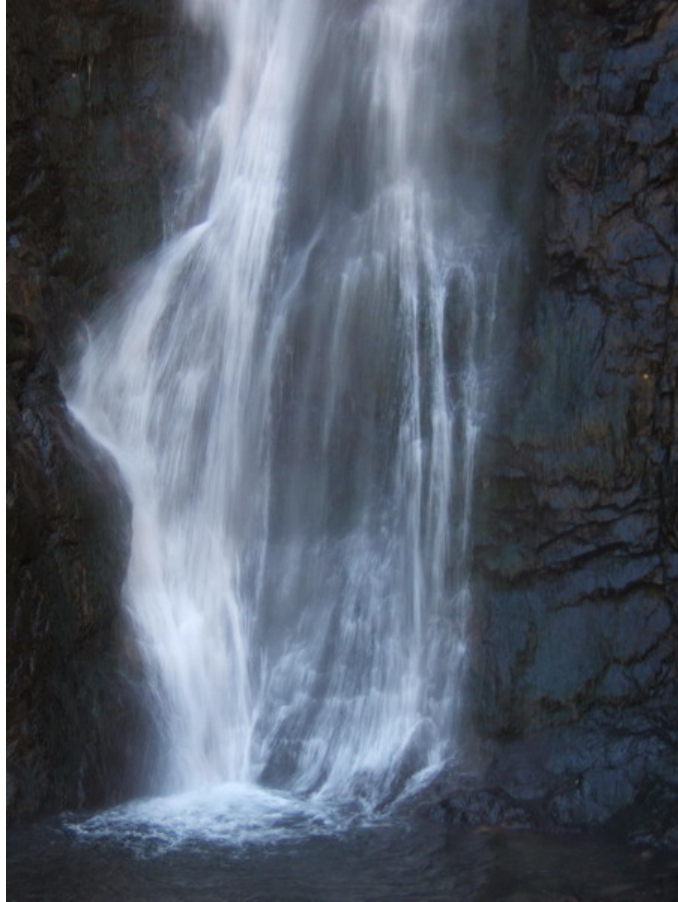


Rano pobuda, wjeżdżamy na górę. Droga licha, stromo po luźnych kamieniach, momentami nie można się zatrzymać bo leżysz. Wjazd jest bajkowy. Mgły rozstępują się chwilami ukazując cerkiew... To chyba widokowo najciekawszy dzień...Aż nie chce się wierzyć, że kilkadziesiąt kilometrów stąd, w Czeczenii wciąż tli się wojna.



Wojtalscy gnają do Batumi po bilety na prom. Szkoda że tak się spieszą bo odpłyną dopiero za trzy dni... Na górze spotkani Austriacy wspominają o Polaku. Tak i ja wieczorem słyszałem imię Czesław. To tutejszy Guru dla wszystkich Polaków alpinistów i przypadkowych turystów. Jest tam już 6 lat. Lotnik oblatywacz, taternik. Właśnie szkoli grupę Gruzinów próbując zorganizować Gruzinińskie Pogotowie Górskie na wzór Polskiego GOPR-u. Kasę wykładają Austriacy. Chwila rozmowy w której podaje trzy następne cele dla nas, takie których nie ma w przewodniku.

1. Rzeka miesiąc temu zerwała drogę do Władykaukazu. Jedźcie zobaczyć siłę natury...
2. Tu niedaleko jest wodospad, jakieś 40m wysoki, warto zobaczyć...



3. Kiedyś mieszkałem we wsi Shatila. To jakieś 60 km drogą po skalnych półkach, widokowo extra a we wsi czeka niespodzianka domy-wieże.

Drogę na Shatilę będę pamiętał do końca życia. To nie jest 60 km tylko 96km w jedną stronę. Właściciel Gostinicy, w której spaliśmy określił ją w ten sposób doroga charosza no asfalta nietut□ To lapidarne powiedzenie stało się naszym mottem na wszystkie kiepskie drogi Zakaukazia.



Droga od połowy jest trudna jak na Afrykę załadowaną full z pasażerem i kierowcą który właśnie odkrył że lęk wysokości nie jest mu obcy. Tłukliśmy się na jedyńce, czasem dwójce. Wreszcie przełęcz - 2800m.(dla ułatwienia zawsze dodaję że Rysy to 2400...)

Jest trochę z górki, dojeżdżamy do Shatili. Nikt nas nie wita. Nie ma żywej duszy. Łazimy po wieżach, pstrykamy foto, ale z niepokojem bo musimy wrócić za dnia... Jeśli jest gdzieś wieś na końcu świata to jest to Shatila. Dalej droga prowadzi do Czeczenii. Tam nie pojedziemy bo mogą przestrzelić nam kolana. Pora wracać.



Zdążyliśmy przed zmrokiem, namioty rozbijamy u niejakiego Waży 20 km. przed Tibilisi pod pergolą z pięknymi, wielkimi winogronami. Jak nie widzi, zrywam parę kulek. Sa extra słodkie i takie wielkie... Waża siada z nami przy prowizorycznym stole. Nie ma krzesel bo niedawno spalił mu się dom a w zasadzie to Waża był uprzejmy sam go puścić z dymem Waża to pijaczysko, które kiedy przynosimy czaczę (to rodzaj bimbru z pozostałości po produkcji wina) i robimy wspólną kolację nawalił się szklaneczką siwuchy i zaczął gadać po gruzińsku uważając, że na pewno go rozumiemy. Rano ten człowiek który nie miał nawet zapalek, obdarował nas butelką soku wiśniowego, siatką winogron, które mu podkradałem i popkornem z własnej malutkiej kukurydzy. Oczywiście nie chciał nic, żadnych pieniędzy, z trudem wcisnąłem mu zapalniczkę.

Ot normalnie, biedny podzieli się tym co ma....

Wjeżdżamy do Tibilisi. Chwila narady i dzwonimy do Garego, poznanego na granicy.

Po 15 min. podjeżdża Chrysler a z niego wysiada małomówny choć miły Ormianin o imieniu Spartak. Jedziemy za nim. Moto zostawiamy u prezesa Gruzjińskiego klubu Motocyklowego, który jako jedyny w Gruzji posiada Afryczkę! Cały dzień jesteśmy wożeni przez nich po stolicy, jemy obiad w dobrej ormiańskiej restauracji.

Rachunek mimo naszych protestów płaci Spartak!

Razem jedziemy na granicę z Armenia bo kolega Spartaka to naczelnik przejścia granicznego i motocyklista zarazem. Formalności trwają chwilę, gorzej na stronie Armenii. Dajemy radę po 30 min.

Wreszcie ten wyjątkowy kraj! Jak dotąd najstarszy obiekt jaki widziałem to kościół Sw. Idziego z 1050r, który zwiedzałem przy okazji zlotu w Białej. Czas cofnąć zegar.

Zaczynamy ostro od zespołu klasztornego Haghpat.



Jest rano, a my na czczo, więc zamawiamy po szaszłyku. Na stół wjeżdża jakaś przegryzka. To coś w rodzaju peklowanej ogonówki w ostrej posypce, ot parę plasterków. Smakujemy, kiwamy głowami, wkustne! Za chwilę jakaś marmoladka wyjątkowej jakości i smaku. Mlaskamy! To może wino, bo mam wyjątkowo dobre - zachwala właściciel mocno wyżelowanej fryzury, nienagannych czarnych zamszowych butów z długachnymi noskami i w końcu tej restauracji, o ile tej nazwy warto użyć w tym przypadku. Podrzucił na stół jeszcze jakieś papryczki, i kilka innych drobiazgów. W końcu nasze zamówione szaszłyki. No, czas na nas, Armenia czeka, a humor wrócił nam po dobrym śniadanku! Hmmm... na chwilę tylko bo gość przyniósł rachunek na 50 lari. Nigdy wcześniej i nigdy później nie zapłaciliśmy tyle za wyzerkę... Uważajcie na gościa który ma knajpkę naprzeciw Haghpat!

Teraz już wiemy, jesteśmy w Armenii. Gruzini nie lubią Ormian. Mówią o nich że dużo gadają ale rzadko prawdę. Mówią że nikt tak Cie nie oszuka jak Ormianin. Ormianie za to mówią o Gruzinach lenie, nieroby, tylko by biesiadowali, pili i czekali aż im coś z nieba spadnie samo. Te opinie choć powierzchowne, jakoś nam się potwierdzały...

Kolejne charakterystyczne miejsce to klasztor nad jeziorem Sewan, które ma 1/5 powierzchni Armenii. To nasze morze, mówią Ormianie. Oczywiście tam znów Polacy. Nie było dnia żebyśmy jakiegoś nie spotkali. Poznać ich łatwo. Trzymają przewodnik bezdroży w garści....



Lecimy dalej. Chcemy przez Yerevań do Eczmiadzynu, stolicy papieżstwa kościoła Ormiańskiego, siedziby Katolikosy. Tam kościół z 309 r (czy jakoś tak). Jesteśmy. No tak ale ten kościół jest z 1600-któregoś bo z pierwotnego niewiele pozostało... Coś ten zegar nie bardzo się cofa. Jakoś jestem rozczarowany zabytkami Armenii, a może zbyt wiele oczekiwałem?

Ararat widać już z Yerevania. Całą drogę mieliśmy szczęście do pogody, ale akurat Ararat jest lekko przydymiony. Lepiej będzie widać z samej granicy z Turcją i Iranem. To tam jest pierwsza stolica Armeńskiego królestwa. To w Khor Virap był więziony przez 13 lat Grzegorz Oświeciciel, ten który zaszczerpił Chrześcijaństwo w pierwszym kraju świata. To tu się zaczęło!



Czas płynie nieubłaganie. Wracamy w kierunku Gruzji.

I niespodzianka. Zegar cofnął się do VI wieku. Oryginał! Czytam w przewodniku! Żadnych przeróbek! Lewarowi opowiadam że nawet dachówka oryginalna, Patrzymy na tą oryginalną dachówkę i zaczynam mieć wątpliwości. Pytamy. No tak, w zeszłym roku wymieniliśmy dach mówią z dumą tubylcy... Stało 1500 lat z okładem, nie mogli poczekać jeszcze rok z tym remontem...?

Nic to, uznaję że cofnąłem zegar do VI wieku.



Jeszcze raz do Tibilisi tym razem sami łazimy po al. Rustawelego. Sprawdzamy czy pozostały ślady kul na frontonie Parlamentu. Posprzątane. Nie wiemy nawet że za parę miesięcy znów tutaj pod schodami Parlamentu będzie gorąco...



Ruch w Tibilisi gorszy jak w Stambule. W Stambule kierowcy są uprzejmi, mają oczy i uszy otwarte, tutaj przez godzinę siedzimy na głównej alei i jesteśmy świadkami jednej stłuczki (3 samochody) i jednej bójki, bo ktoś komuś zajechał drogę. Siedzimy tu bo Emilia ma sesję internetową z Anglią. Właśnie załatwia sobie staż i umówiła się z angolami na Skypa w Tibilisi. Ech, globalna wioska... Lecimy do Kacheti bo to stolica win i winogron! A wina to myśmy jeszcze tutaj nie pili. Trochę kluczymy, trafiamy do Sighnaghi . Boże, co za szok. To Szwajcaria ?!!! Nie, to wielki plac budowy! Chyba cała kasa Gruzji zainwestowana w jednym miejscu! Wszystko z pietyzmem odnawiane. Nie, budowane na nowo! Fontanny, rzeźby, punkty widokowe, balkoniki, zegary, latarnie... Nieprawdopodobne. Kto dał kasę? Nie dowiedzieliśmy się. Ale w przyszłym roku sprawdzi postęp robót, mam nadzieję następną ekipa.



Wreszcie zgodnie z przewodnikiem trafiamy do Zindali. To stara fabryczka wina, która wciąż jeszcze działa. Mocno pod turystów, wejście po 35 lari, to ogromna kasa, w zamian można zobaczyć piwnice w których najstarsza butelka jest z 1814 roku, a co ważniejsze w cenie jest degustacja win.

Czas na powrót. Skracamy drogę i wjeżdżamy na żółtą... a Gary mówił, trzymajcie się czerwonych. Jedziemy 20-30km na godzinę. Noc zastała nas w górach, na szczęście niezbyt wysokich, ale nocleg pod namiotem był chłodnawy. To już koniec wrzesnia, a góry to góry.

Wpadamy do Poti po bilety. Płacimy 100 lari (za mnie i Emilię), Lewar coś około 64lari. Nie wiemy za co, ale to dopiero początek. Mamy jeszcze jeden dzień. Jedziemy do Ureki bo nasza specjalistka od plaż Emilia wyczytała że to plaża magnetyczna. Zakopujemy się na 15 min. zgodnie z tutejszym przepisem na młodość. Cały dzień byczenia się. Piach czarny...

22 września o godz. 9.00 jesteśmy w biurze UKR Ferry. Usiłujemy się czegoś dowiedzieć. Nikt nic nie wie. Nada zdać. Pijemy piwko i gaworzymy z Gruzinem który był 10 lat w Polsce. Wrócił bo tęsknił do swoich...

Czekamy, czekamy, czekamy, wreszcie coś około 15.00. z naszego punktu obserwacyjnego przy stoliku w knajpie widzimy jakiś ruch w biurze. Zbieramy zabawki i lecimy na odprawę. Godz.16.00.jesteśmy na promie. Mocujemy motocykle, zbieramy kłopoty i obładowani po wąskich trapach pniemy się na pokład pasażerski. Dają kajutę. Wchodzimy. Nie jest źle. Prycze piętrowe ale przyzwoite, prysznic, kibel.

Kultura. Do messy blisko - też dobrze. O 18.00 odpływamy. Natychmiast woła nas oficer pokładowy i wypisuje nam bilet. 120\$ za osobę i 130\$ za moto. Trudno, miało być taniej ale jeszcze nie jest źle. Płacimy idziemy na michę. Mario to Bułgar (prom jest Bułgarski) który jest stewardem. Jakoś patrzemy na niego i obaj dochodzimy do wniosku że to chyba ciepły chłopak. Nie sprawdzamy jego preferencji. Referencje za to przydałoby się sprawdzić. Żarcie przez całą drogę było dosyć podłe.

Piwo tylko bułgarskie i też liche, za to drogie, za dolary. Pierwszy raz w życiu widzimy jak obsługujący, serwując posiłki, dyskretnie usiłuje schować w dłoni zapalonego peta. Po trzech posiłkach mamy ochotę wyrzucić go za burtę. Życie uratowali nam już przy pierwszym posiłku Gruzini. Jechało ich 6 kierowców tirów i niejaki Koba, którego przezwaliliśmy Ben Laden. Gość konwojował 6 cystern gruzińskiego koniaku o podwójnej mocy 68%. Do każdego posiłku przynosił a to słoik, a to butelkę po pecie 1,5l, to znów jakiś gliniany garnuszek. Zawartość jednak zawsze była jednaka! Prom bardzo się sfraternizował i nawet Ukraińcy, którzy za Gruzinami nie przepadali, przepadli przy degustowaniu trunku. Prom był pijany przez dwa dni a dobił nad ranem dnia trzeciego i stanął. Po wielu przeprawach których nawet nie chcę wspominać już o 14.00 udało się opuścić gościnny port w Odessie po zapłaceniu kolejnych 45\$ za zjazd z promu.

Powrót przez Ukrainę bez niespodzianek, bo przecież nie było niespodzianką że 2 razy zatrzymali nas policjanci. Zapłaciliśmy kupę kasy bo 200 hrywien za obu za przekroczenie linii ciągłej. Za drugim razem Lewar za szybkość, poszedł w zaparte i puścili go. Po drodze spotkaliśmy dwa moto z Poznania to był V-max i jakiś ścigacz, chłopaki mieli poobrywane brzuchy na tych dziurach ukraińskich, a lecieli na Krym. Dedykuje tą wzmiankę tym którzy nie wiedzą dlaczego na takie wyjazdy jeździ się Afryką.

Potem Tarnopol bo tam żyje nasz kolega Afrykańczyk Andrej. Oprowadził po Tarnopolu, a trafiliśmy na ciekawy czas. Na środku rynku był wiec przedwyborczy (za dwa dni Ukraina wybierała). Chłopaki o słusznych gabarytach stali w dwuszeregu z pochodniami, w czarnych koszulkach z napisem TRYZUB, a pod spodem Stefan Bandera. Pochodnie, bębny, flagi. Zapachniało nazizmem. Potem przemarsz gwiazdzisty główną ulicą miasta. Taaaak, Stefan Bandera to dla nich bojownik o wolną i niepodległą Ukrainę, dla nas bandyta i rzeźnik. Andriej właśnie pakował się na zlot w Bieszczadach, więc pojechaliśmy razem, gdzie niektórzy mieli szczęście i niewątpliwą przyjemność nas spotkać.

Bieszczady jesienią też są fajne. Może wcale nie trzeba jeździć tak daleko? A może właśnie trzeba żeby się przekonać że każdy kraj ma coś ciekawego, wartego zobaczenia? Na koniec tylko podsumowanie. Moja 18 letnia babcia przejechała 8500km, a jedyne co się stało to jak zwykle napęd licznika który jak co roku wytrzymuje dokładnie 5 tys km. Koszt wycieczki zamknął się w okolicach 5500 zł. Nie pobiliśmy się.

Afryki się nie psują.

SUPLEMENT LEWARA

Ja wiem, że podróż promem a zwłaszcza opuszczenie portu w Iliczewsku jest dla Andrzeja przeżyciem traumatycznym i dlatego nie chce on o tym pisać ale wiem także, że dla tych co zamierzają pójść w nasze ślady i wpadną na taki chory pomysł, moje porady mogą się okazać bardzo cenne.

Piszę o tym po raz trzeci bo poprzednie dwa teksty zniknęły mi gdzieś bezpowrotnie w komputerowych otchłaniach cyberprzestrzeni i jeśli zdarzy się to znowu to zacznę gryźć.

A więc

W pizdu□czyli jak przetrwać podróż promem z Poti do Iliczewska, opuścić port i nie zwariować.

1. Po pierwsze primo nakupić taką ilość gorzały aby starczyło na znieczulenie się na cały rejs i załatwienie formalności w porcie. Nie każdy ma tyle szczęścia, że spotyka Gruzina Konwojującego Koniak, który na dodatek Was polubi i zechce się nim dzielić. Wg. Andrzeja cystern z koniakiem było 6. Według mnie 11. Wszystko jedno, i tak nie daliśmy rady wypić chociażby jednej. Podróż promem jest interesująca przez pierwsze trzy godziny a potem można się porzygać z nudów lub choroby morskiej.

UWAGA !!! NA PROMIE NIE MOŻNA ZANABYĆ TWARDYCH TRUNKÓW. (przynajmniej na tym, którym płynęliśmy czyli Geroji na Sewastopol kompanii Navibulgar.

2. Po drugie primo ponieważ z całej podróży niewiele pamiętam to nie będę się tu rozpisywał. Wiem tylko, że przed wyrzuceniem kucharza i jego pomocnika razem z ich podłym żarciem za burzę, powstrzymałem mnie jedynie brak rekinów w Morzu Czarnym.

3. Po opuszczeniu redy i wpłynięciu do portu nie ekscytować się, nie podniecać niezdrowo, a zwłaszcza nie targać bagaży do motocykla tylko usiąść w kajucie, której macie już po dziurki w nosie i spokojnie kontynuować biesiadę. Czeka Was bowiem najście Komisji Celnej, która zjadłwszy śniadanie i napiwszy się kawy w messie, mozolnie i pedantycznie przystąpi do sprawdzania i opieczętowywania kabin na statku. Komisja może skontrolować Was i Wasze bagaże ale nie musi. My nie wydaliśmy się podejrzani albo już nie nadawaliśmy się do kontroli więc sobie odpuścili. Aha zanim wprowadzicie się w stan błogiej obojętności warto wypełnić druczek Deklaracji Imigracyjnej bo po pijaku moglibyście wyrazić chęć zostania obywatelem Ukrainy i co wtedy ?!!!

4. Jeśli udało Wam się jakoś przytroczyć właściwe bagaże do właściwego motocykla i opuścić pokład nie przewracając się na moście (przepraszam Andrzej ale musiałem to napisać) to nie ciescie się,

że to już z górki. Teraz czeka Was następna kontrola celna ale celnicy mają właśnie zmianę i należy czekać, czekać, czekać. Próby przyśpieszenia owocują jedynie próbą wymuszenia łapówki z drugiej strony. Jak ktoś ma za dużo kasy to proszę bardzo. My byliśmy na wakacjach i mieliśmy czas. Dużo czasu. Wreszcie się zebrali i podchodzą. Skrupulatnie sprawdzają nasze bagaże. Wnikliwie porównują numery ram z tymi zapisanymi w techpasporcie. Straszą, że będą nas wachać psy ale widać psy zdechły z głodu albo z nudów bo do próby obwąchiwania nie dochodzi.

5. Po wizji lokalnej zapraszają Was na pierwsze piętro do biurowca gdzie uczonej w komputerach celnik, będzie pracowicie, jednym palcem, wklepywał wszystkie Wasze dane z paszportu i techpasportu do komputera. I niech się nikt nie spodziewa, że pozwolą Wam usiąść. Tu musiałem kopnąć Andrzeja w kostkę bo zaczynał się gotować i pyskować coś o ukraińskich porządkach a przecież oni mogą nas tu trzymać i trzy dni.

6. Ok. Polecają nam teraz udać się w drugi koniec portu gdzie Kobieta Potrafiąca Obsługiwać Ksero, kseruje dla ważnych potrzeb portu Wasze paszporty i kartę pojazdu z każdej strony ale to WY musicie za to zapłacić. Ponieważ nie macie hrywien bo i skąd więc środki płatnicze w postaci dolarów lub euro są przyjmowane z wyraźnym zadowoleniem.

7. Jeśli myślicie, że już niczym nie mogą Was tu zaskoczyć to jesteście w błędzie. Otóż w na tym samym piętrze w Dziale Technicznym pobierają od Was niemałą opłatę za most czyli część łączącą Wasz ulubiony prom z nabrzeżem ulubionego (choć jeszcze o tym nie wiecie) portu. Nie pomagają próby wyjaśnienia, że za most zapłaciliście już w Poti. Poti to Poti a tu jest Iliczewsk i nada tożę płacić. Ponieważ hrywien nie macie bo i skąd, więc zapłata w dolarach lub w euro jest przyjmowana z wyraźnym zadowoleniem. I nie dostajecie kwitancji. Biurwy wypisują za to następne niezwykle ważne formularze w sześciu egzemplarzach a każdy należy podpisać i polecają udać się do baraku o dumnej nazwie Ekologia. Ponieważ przewiduję następną próbę wyłudzenia pieniędzy więc puszczają mi nerwy i zaczynam się awanturować i tu z kolei Andrzej kopie mnie w kostkę bo babska miny mają zawzięte i mogą narobić dymu. Bo to Złe Kobiety były.

8. W Ekologii o dziwo nie chcą żadnych pieniędzy i tylko stawiają pieczętki na każdej z sześciu bumag.

9 Teraz mały spacer z powrotem do budynku celników gdzie miła pani domaga się od nas owej kwitancji ale po telefonicznej rozmowie ze Złymi Kobietami odpuszcza. Nie odpuszcza sobie Andrzej i postanawia owe kwitancje odzyskać ponieważ wietrzy jakiś przekręt.

10. Z naręczem papierów zachodzimy do następnego pokoju, w którym następna zgraja darmozjadów udaje, że wypełnia jakieś pożyteczne funkcje. Ważniak W Mundurze Ze Złotymi

Pagonami uprzejmie pyta nas czy my pierwszy raz na Ukrainie i czy nam się tu podoba. I tu gościu przegiął□.

Opierdalam jego i te całe ukraińskie porządki starannie dobierając słownictwo chociaż gdzieś w tyle głowy czają mi się bluzgi jakich nie powstydziliby się najgorszy wor z Lefortowskiego więzienia. Skąd ja znam takie słowa ?!!! Czy w poprzednim wcieleniu byłem Rosjaninem ?!!! O dziwo, pomaga !!!

Ważniak bierze połowę z sześciu bumag i mruży pod nosem, że sam je zanieśe gdzie trzeba.

11. Teraz wyluzowani wspinamy się na pierwszy etaż gdzie znajomy Jednopalcy celnik uświadamia nam, że popełniliśmy błąd wpisując w deklarację imigracyjną tranzyt ponieważ on musi określić jakim przejściem wyjedziemy. My wiemy, że po polskiej stronie to Krościenko ale nie znamy nazwy miejscowości po stronie ukraińskiej. Ukraiński celnik TEŻ TEGO NIE WIE !!! Po 20min. machamy ręką i decydujemy się na przejście w Szegini.

12. No to byłoby z górki gdyby Andrzej nie zdecydował się wdrożyć private investigation w sprawie owej kwitancji Nie wiem co on uczynił Złym Kobietom ale wrócił z ową Kwitancją i jeszcze połączył dwie hrywny reszty. No to mamy sukces w walce z Wszechpotężną Ukraińską Biurokracją !!!

!3. W zasadzie moglibyśmy opuścić port gdyby nie lokomotywa z ogonem wagonów manewrująca po torach na jedynym wyjeździe w tę i z powrotem, w tę i z powrotem. I tak 40 min. Dowiadujemy się, że jest jeszcze jeden wyjazd i spragnieni wolności gnamy tam, ale Blondie Obsługująca Bramę osadza nas twierdząc, że nie mamy jeszcze jednej ostatecznej i najważniejszej pieczętki na naszych papierach i trzeba ją zdobyć u Złych Kobiet. Ponieważ Andrzej się z nimi zaprzyjaźnił więc dyga po te pieczętki a ja w bezsilnej złości rozwalam kopniakami drewnianą skrzynkę z substancją przeciw ptasiej grypie.

NARESZCIE WOLNOŚĆ !!!!

PS. Gorąco nie polecam przeprawy promowej osobom nie znającym rosyjskiego. Mogą tam utknąć na wieki. My wpłynęliśmy do Iliczewska o brzasku. Opuściliśmy go ok. godz. 14,00 Koszty promu od motocykla i kierowcy to ok. 330\$. To i tak taniej niż na kołach przez Turcję a i klimaty niepowtarzalne. Cały koszt wyprawy zamknął mi się w kwocie poniżej 5000 PLN. To znacznie mniej niż wydał Andrzej ale on strasznie pił ?

Dziękuję Emilii i Andrzejowi za miłe towarzystwo w podróży. Można z nimi jechać dookoła świata i jeszcze dalej.

Lewar